

— A! — podjął skwapliwie referendarz.

— Cała jego dążność polega dla mnie na burzycielstwie, na warcholstwie, na demagogii...

Jelski udeżył palcami w tabakierkę.

— Okrutnie mocno zdefiniowane! Więc ten, bardzo się cieszę, bardzo. Chodźmy wieści, że niby pułkownik należysz... Książę-prezes Rządu będzie okrutnie, okrutnie...

— Wybacz pan referendarz — ozwał się Bem, którego całe to osobliwe rozmawianie się z Jelskim niepokoić zaczynało — że zagadnę, o jakie to wieści chodzi?

Jelski rozśmiał się dobroduszenie.

— Phy! O zwyczajne, pułkowniku dobrodziej, najpospolitsze. Jak to bywa, ten to a tamten owo i fama urasta. Rzekieś i skończone...

We drzwiach komnaty ukazał się major Borodzicz. Jelski porwał się żywo ku niemu.

— Co, to sztafeta?

— Od generała Prądyńskiego!

— Nareszcie, nareszcie! Daj komendancie! Aha, do księcia-prezesa! Wybornie! Sam ją zaniosę!

Referendarz rzucił okiem na podaną mu przez majora kopertę, zważył ją w rękę i mrugnął znacząco do pułkownika.

— Hm — hm! Jeszcze moment cierpliwości. I kto wie! A wiem, dobrodziej-pułkownik raczy pamiętać, że z całą, z całą dlań jestem i byłem... że zawsze miałem wysokie o nim rozumienie.

Tu Jelski skłonił się z atencją Bemowi i, zaleciwszy solennie, aby major honorował gościa, podreptał w głąb przedsiionka ku schodom.

Borodzicz, stosując się do rozkazu referendarza, jął pułkownikowi napraszać się z wygodniejszym fotelem, z poczęstunkiem wreszcie.

Pułkownika zniecierpliwienie ogarnęło.

— Dziękuję za wszystko, nie chcę przyczyniać kłopotu...

— Najmniejszego.

— A jeżeli waszmość łaskaw, uracz mnie wiadomością, przed kim mam właściwie stanąć i w jakiej sprawie...

— Książę...

— A ten pan referendarz?

— Prawa ręka, panie pułkowniku, od niego wiele zależy! I jak pan pułkownik zauważył, jest dlań z zupełną...

— Wielki honor — ale nie objaśnia mnie wcale dostatecznie!

Major rozejrzał się dokoła i szepnął konfidencyjnie.

— Mam niesłychanie ważne posiedzenie...

— Domyślam się...

— Sprawy... sprawy dygnitarzów wojskowych, dymisye. Ostatnia kampania wywołała, to jest, spowodowała... Wczoraj książę z ministrem wojny byli u Prądyńskiego. — Odmówił. Przed chwilą nadeszła odpowiedź na wtóre zapytanie. I odmowa.

Bem rozwarł szeroko oczy.

— Nie rozumiem.

Major kiwnął z przeświadczeniem głową.

— Niechybnie, inaczej nie dawał by odpisu, jeno sam by przyjechał! — Tak! — Proponuje generała Jankowskiego! — Lecz nie przejdzie. Kaliszanie by podnieśli gwałt. Dla pana Niemojowskiego nie można. Wyszedłby Giełgud, — ale go nie ma...

— Więc zmiana dowództwa?!

Borodzicz palec na ustach położył i znów obejrzał się dokoła.

— Pan pułkownik za złe nie weźmie, ale tu kręci się jeden... Pan Skrzynecki ma tu swoich zauszniaków. Więc tak, kłuje się zmiana! Już kiedy z Rożana, po bitwie napisał — była o tem mowa. Książę i minister Barzykowski chcieli wówczas. Morawski się nie akkomodował. I ułożyło się — aż dziś przed północą adjutant Działyński przybył z Modlina z depeşami do Rządu. Konia z kreteśsem ochwacił. Stąd larum. Plutonu służbowego nie starczyło! Pan Skrzynecki żądania stawiał!...

Major strzepnął bezwładnie rękoma.

Niepodobna, panie pułkowniku! Nie możemy! Ostrołęce, niepodobna! Zresztą gdyby na-
zalogować się dało... to trzeba myśleć, jej powaga Rządu... o! Powaga! — I w tem

szkopuł, panie generale! — Tak czy owak, Skrzynecki jest pogrzebany.

Bema dotknęły tak niemile te wynurzenia, że nawet nie zauważył, iż major na generała go awansował. Borodzicz ciągnął dalej.

— Więc idzie o następstwo. Z tego wynika potrzeba zasięgnięcia wiadomości! — O panu generale dopiero pan Morawski zdał relację...

— Jestem pułkownikiem tylko.

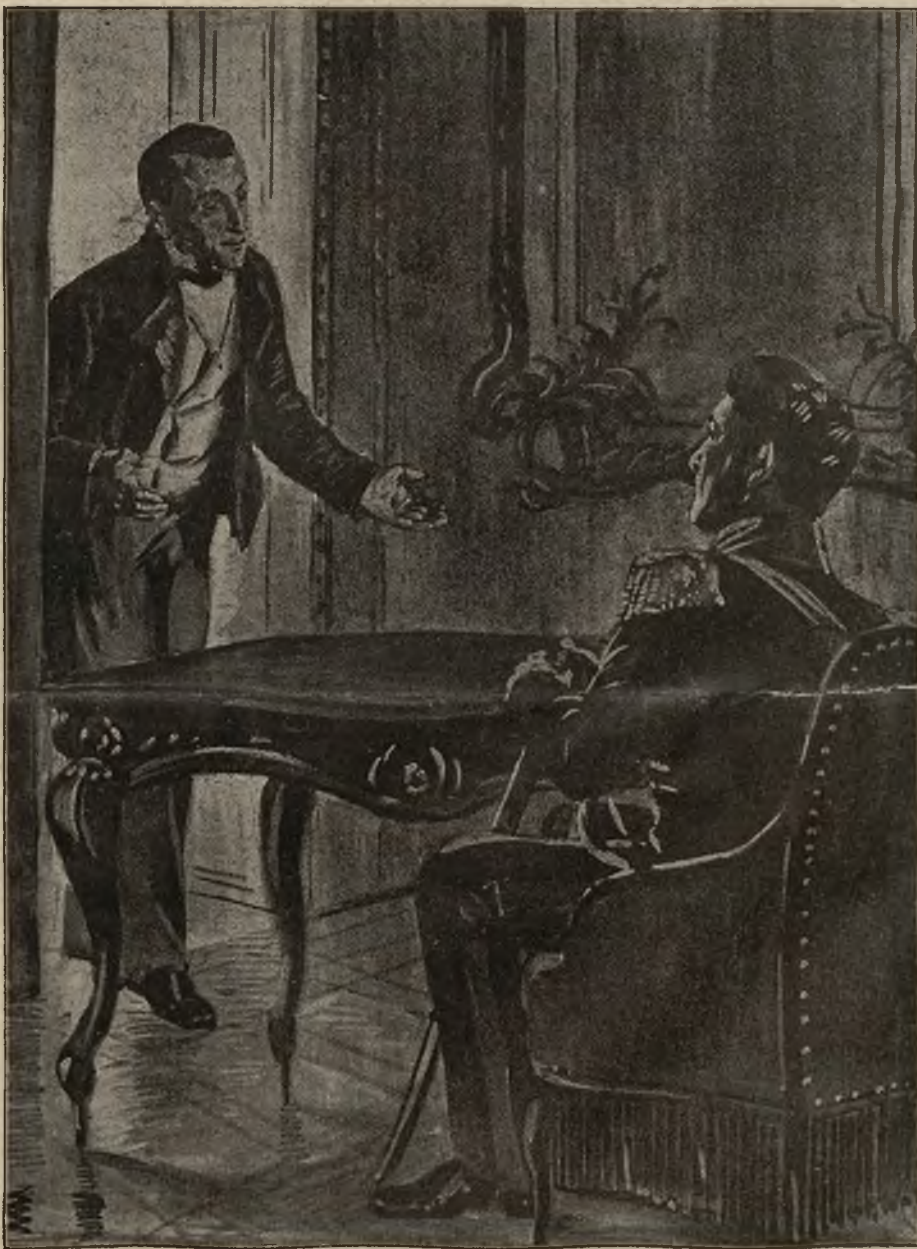
— Nie ośmieliłbym się za to ręczyć! Nie jeden z generałów może mu pozazdrościć. A tak, niechybnie. Więc pan Morawski dopiero zawiadomił Rząd. Pan pułkownik zna raport pana Skrzyneckiego...

— Widziałem rozkaz dzienny.

— Tamten nic jeszcze. Mam tu odpis najwerniejszy, proszę, niech pan pułkownik się przekona, ani słówka o nim...

W słabem świetle pajaka, litery raportu, podsuniętego przez Borodzicza, złożył się Bemowi w czarne, nierówne pasma.

— O tu na dole właśnie. Pan pułkownik uważa — stoi wyraźnie, „w tym kanonowym boju“ — czyli



Stał przed nim szczupły, chudy jegomość w perłowym surducie.

że pan Skrzynecki podznacza działanie artylerii — „odznaczyli się między innymi generał Pac“ — a dalej — „Małachowski i Bogusławski“... Wymienił więc na chwałę artyleryjskiej bitwy dwóch kawalerzystów i jednego piechura. A w tem dwóch rannych tak, że ani ręką ani nogą i jednego niedołęgę-poczwierca, który na batalion ledwie starczy!

— Cale mnie to nie uraża. I tak dziw, że mógł skleić w takim zamęcie...

— Raport pisany był nazajutrz po bitwie, z Pułtusza. Kiedy zatem pan Morawski o panu pułkowniku, tak dopiero... Niemojowski od razu żądał wyższego stopnia... lecz że z panem Skrzyneckim chwiała się — musiano zachować sprawę, odwlec, lecz nie na długo, panie pułkowniku. Dzięki Bogu, nie na długo. Talentom należy się nareszcie pierwszeństwo! Czas największy, abyśmy prawdziwych generałów mieli na czele.

Bema ogarnęło niewytłómaczone uczucie przygnębienia, zniechęcenia. Borodzicz dalej rozwodził się nad upadkiem ducha w wojsku, nad szemraniem, które wzmacnia się z przyczyny bezwładności dowództwa, nad coraz większą Towarzystwa patryotycznego hardością i raz po raz czynił przesłanki do rychłego awansu pułkownika. Bem słuchał tych wynurzeń

chmurny, nasepiony. Chwilami, gdy na zręczne napomknienie majora, łyskał mu amarantowy, srebrną wstęgą nazębiony, kołnierz generalski, ożywał się, jakby przytakiwał Borodziczowi. Aż raptem w pół ruchu, w półrozchyleniu ust, gotowych do odpowiedzi, stygl, drętwiał. Chwilami znów wzmagął się i gonił myślami rojenia te najskrytsze, najserdeczniejsze, najmiłsze, te, które mu tyle nocy dały przemazzyć, tyle niegdy trudów wojennych pozwoliły znieść.

Borodzicz chrobotał mu nad uchem swe poufne zwierzenia a on, Bem, pędził, gonił marę promienną. — Żołnierzkiem prostym dla niej się zaciągnął, dla niej krew niósł.

Czynem nieśmiertelnym dźwignąć się, na tytana urósł, ogarnąć zastępy i powieść je do chwazy, do zwycięstwa. Przykładem jaśnieć, być odkupicielem, wodzem nad wczadami, Katonem i Achillesem, pomścić i przebaczyć, zdumieć wspaniałomyślnością, zakłąć własną mocą i testament niepożyty przyszłym zostawić pokoleniom!

Te mary były przy nim, gdy, pod Raszynem, pędził za Włodzimierzem Potockim wśród dymów armatnich, — te mary objawiły mu się, gdy z oblężonego Gdańska ruszył na wyprawę, gdy po raz pierwszy dowodził pólbateryą! Wówczas te mary rozsadały mu piersi, wówczas widział przed sobą początek ich ziszczenia... Raszyn dał mu porucznikowską epoletę, Gdańsk pana Władysława Ostrowskiego artyleryjską zdolność rozstawił... Po tem, gdy po kapitulacji, umknął samotrzeć do Francji, za Napoleonem, za cesarzem, już odtąd co dnia widział zawzięci jępiętrzące się przed sobą stopnie, już odtąd co dnia przekonywał się, iż rzeczywistość na podrzędnem kapitaństwie zamrzeć mu nakazuje. Po latach długich koszarowej nicości, koszarowego ubiegania się o pochwałę na paradzie, — zagrała pobudka i ta konspirowana, szeptała. Trzy gradusy zdobyła mu, trzy rangi przyczyniła i oto pomioła go tam, kędy jeden krok, wysiłek jeden, dzieli go od tego, czego do niedawna wypominać się nie ważył, co miał za rozwiane mgły młodzieńczych snów, co miał za ułudę mającżeń chłopięcych.

I Bem wdziawał generalski mundur i już nie na Wołyn z korpusikiem pochodnię rewolucji niósł, już nie z lada Gejsamerem się wodził, lecz młócił całą Dybiczową potęgę, rąbał na wióry, do pruskiej odsieczy szczyrzył armaty i stanowił prawa i krnąbrność tępił i ziemią jednym zaciynała uderzać tętnem...

Aż gdy wokół siebie widział już jeno błękity, słońcem wyzłocone, gdy już brakło mu czworoboków do robijania, fortec do oblegania, gdy już tęczy jawił mu się łuk — rehot szyderczy zrywał mu się pod czaszką...

I pułkownika wstyd ogarniał, wstyd przed samym sobą za samolubstwo, za pychę, za powolność dla schlebcy, za nikczemność... Tak, boć on, który wczoraj, dziś jeszcze, potępiał generałów, dowódców, że pną się, jeden przez drugiego, że walczą między sobą, że miast spolem iść, łączyć usiłowania, patrzą wyniesienia, że z osobistej niechęci krzyżują plany, — on który tak surowym, nieubłagany był sędzią, któremu obmierzył Prądyński dla swych uwag i kwasów — on, po

jednotygodniowym pułkownictwie, na jedno łysnienie mu gwiazdką brygadiera, hołubi się nicpońską ambicją, jak i tamci! Gorzej, bo gdzież jego prawo? Gdzież dokumenty, by on, znany z kapitańskich, podpułkowniczych zasług, miał tytuł do przewodzenia tym, którym generałowanie było od tak dawna rzemiosłem! — Podłe, ubogie, charłackie zachcianki! Ten szpak kancelaryjny, co mu biada nad uchem a sady komplementami, za język go ciągnie, tumani, by zeń w kufak się rozśmiać i nabełtać mętów...

Bema gniewny bunt dojął, poruszył się niecierpliwie i chwytając Borodzicza w półsłowie, ozwał się cierpko:

— Bądź łaskaw niezapominać, majorze, że generał Skrzynecki jest podotąd i moim i twoim naczelnikiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).